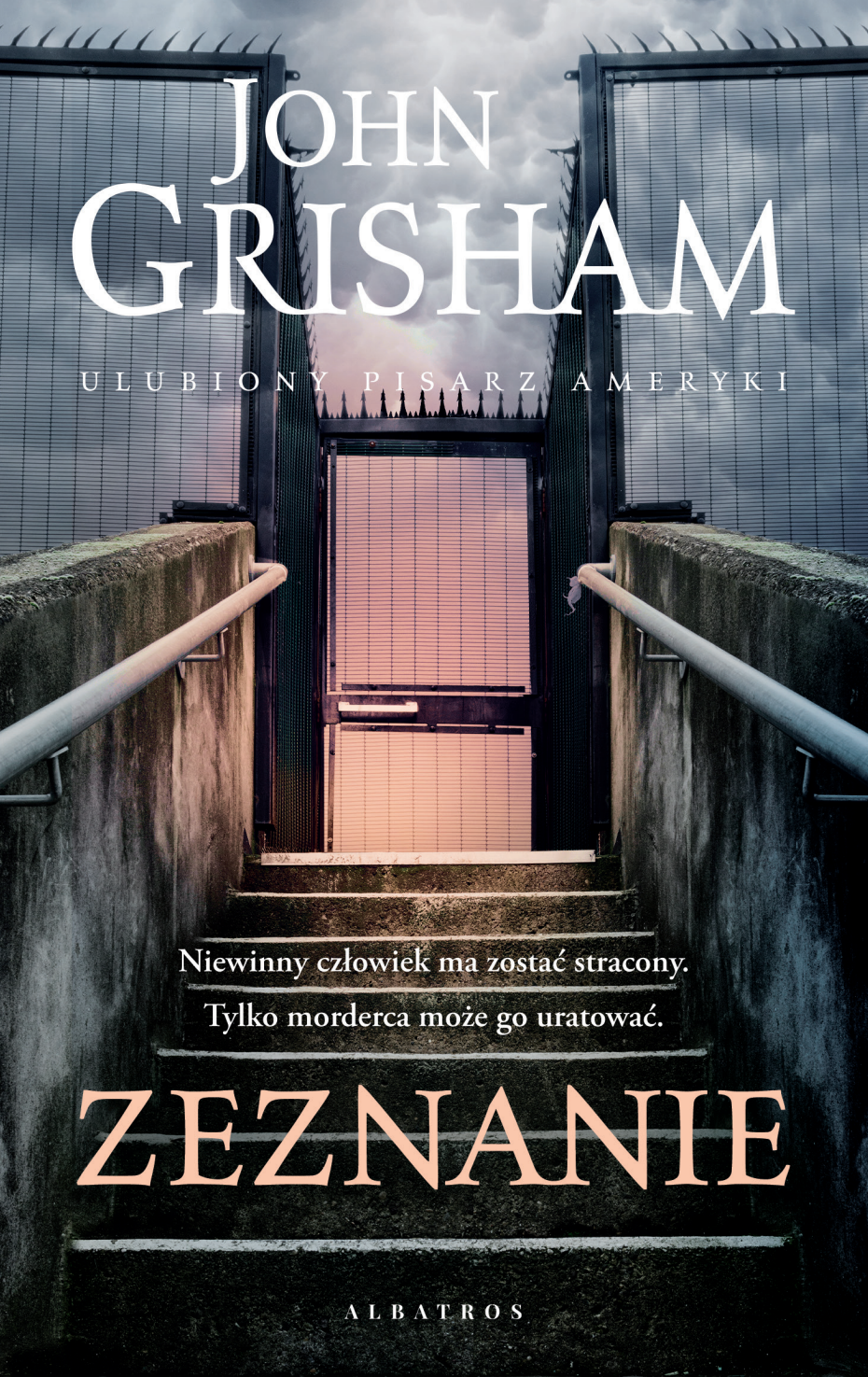




JOHN GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

Niewinny człowiek ma zostać stracony.
Tylko morderca może go uratować.

ZEZNANIE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE CONFESSION

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2010
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2024

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny i przygotowanie do druku okładki:
Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp z o.o.

Ilustracja na okładce: © Dave Wall/Arcangel

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Dozorca kościoła Świętego Marka właśnie oczyścił chodniki z ośmiocentymetrowej warstwy śniegu, kiedy pojawił się mężczyzna z laską. Świeciło słońce, ale hulał wiatr, a temperatura nie przekraczała zera stopni. Tymczasem ten człowiek miał na sobie jedynie spodnie z drellichu, letnią koszulę, znoszone trapezy i cienką wiatrówkę, która na pewno nie mogła chronić przed takim zimnem. Wydawał się jednak tym nie przejmować, nie spieszył się. Szedł, kulejąc, lekko przechylony na lewo, w stronę, po której opierał się na lasce. Doczłapał chodnikiem pod kościół i zatrzymał się przy drzwiach z wymalowanym ciemnoczerwonymi literami napisem *Kancelaria*. Nie zapukał, a drzwi nie były zamknięte. Po prostu wszedł do środka, gdy kolejny powiew wiatru uderzył go w plecy.

Recepcja była zagrożona i przykurzona, jak można by się spodziewać po tak starej parafii. Pośrodku stało biurko z plakietską informującą, że siedząca za nim osoba to Charlotte Junger.

- Dzień dobry – powitała z uśmiechem przybysza.
- Dzień dobry – powiedział mężczyzna, po czym nastąpiła dłuższa chwila przerwy. – Bardzo dziś zimno.
- Rzeczywiście – przyznała i szybko zmierzyła go wzrokiem.

Problem polegał na tym, że mężczyzna nie miał porządnej kurtki ani rękawiczek czy czapki.

– Przypuszczam, że mam przyjemność z panną Junger – rzucił, patrząc na wypisane nazwisko.

– Nie, panny Junger dziś nie ma. Grypa. Jestem Dana Schroeder, żona pastora, zastępuję ją. Co możemy dla pana zrobić?

Stało tam jedno wolne krzesło i mężczyzna zerknął na nie z nadzieją.

– Mogę?

– Oczywiście.

Usiadł ostrożnie, tak jakby każdy ruch wymagał uprzedniego przemyślenia.

– Czy zastałem pastora? – zapytał i spojrzał na duże zamknięte drzwi z lewej strony.

– Tak, ale ma spotkanie. Co możemy dla pana zrobić?

Była drobna, o kształtnych piersiach, w obcisłym sweterku. Nie mógł zobaczyć nic poniżej talii, pod biurkiem. Zawsze wołał mniejsze kobiety. Słodka buzia, duże niebieskie oczy, wydatne kości policzkowe, zdrowa, ładna dziewczyna, idealna żonka pastora.

Minęło tyle czasu, odkąd dotykał kobiety.

– Muszę zobaczyć się z pastorem Schroederem. – Złożył dłoń jak do modlitwy. – Byłem wczoraj w kościele, słuchałem kazania i... potrzebuję rady.

– Jest dziś bardzo zajęty – odparła z uśmiechem.

Naprawdę ładne ząbki.

– To sprawa, z którą trudno mi czekać – powiedział.

Dana dość długo była żoną Keitha Schroedera, by wiecieć, że nikogo stąd nie odprawia się z kwitkiem, niezależnie od tego, czy ten ktoś był umówiony, czy nie. Poza tym w ten lodowaty poniedziałkowy ranek Keith tak naprawdę nie był aż tak bardzo zajęty. Kilka telefonów, trwająca właśnie konsultacja z młodą parą, która wycofywała się ze ślubu, a

potem jak zwykle wizyty w szpitalach. Dana przerzuciła papiery na biurku i znalazła prosty formularz, którego szukała.

– No dobrze – rzuciła. – Zbiorę tylko podstawowe informacje i zobaczymy, co da się zrobić.

Trzymała już długopis w pogotowiu.

– Dziękuję. – Lekko skłonił głowę.

– Jak się pan nazywa?

– Travis Boyette. – Automatycznie przeliterował nazwisko. – Data urodzenia: dziesiąty października tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt trzy. Miejsce: Joplin w stanie Missouri. Wiek: czterdzieści cztery lata. Rozwiedziony, bezdzietny. Bez adresu. Bez miejsca zatrudnienia. Bez perspektyw.

Dana słuchała tego, a długopis skakał jak szalony po rubrykach, by odpowiednio je wypełnić. Informacje męczyzny budziły znacznie więcej pytań, niż zawierał ten mały formularz.

– Dobrze... a jeśli chodzi o adres... – Nie przerywała pisanego. – Gdzie pan obecnie mieszka?

– Obecnie podlegam Wydziałowi Resocjalizacji Kansas. Zostałem skierowany do ośrodka na Siedemnastej Ulicy, kilka przecznic stąd. Jestem w trakcie odzyskiwania wolności, procesu „powrotu do społeczeństwa”, jak to lubią nazywać. Kilka miesięcy w ośrodku tu, w Topece, a potem będę wolny jak ptak i nic mnie już więcej nie czeka, pozostanę na zwolnieniu warunkowym do końca życia.

Długopis zamarł, ale Dana nadal wpatrywała się w formularz. Jej zapał do dalszego zbierania informacji nagle wyparował. Wahała się, czy pytać o cokolwiek jeszcze. Skoro jednak już zaczęła, czuła się zobowiązana kontynuować. Niby co innego mogliby robić, czekając na pastora?

– Może napije się pan kawy? – spytała, pewna, że to nieszkodliwe pytanie.

Nastąpiła chwila milczenia, o wiele za długa, jakby mężczyzna nie potrafił się zdecydować.

– Tak, dziękuję. Bez mleka, z odrobiną cukru.

Dana skwapliwie wybiegła z pokoju. Obserwował ją. Przyjrzał się jej całej uważnie: dostrzegł ładny okrągły tyłek pod spodniami, szczupłe nogi, wysportowane ramiona, nawet koński ogon. Metr sześćdziesiąt, może metr sześćdziesiąt trzy, najwyżej pięćdziesiąt kilo.

Nie spieszyła się z powrotem, a kiedy wreszcie znów weszła, Travis Boyette był dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Nadal siedział jak mnich. Czubki palców prawej dłoni postukiwały lekko w czubki palców lewej, czarna drewniana laska leżała mu na udach, oczy patrzyły ze smutkiem w dal, na gołą ścianę naprzeciw. Miał głowę ogoloną na zero, małą, idealnie okrągłą i błyszczącą, i kiedy Dana podawała mu filiżankę, kusiło ją, by zadać niepoważne pytanie, czy tak młodo wyłysiał, czy też po prostu lubi styl skinów. Po lewej stronie szyi piał się złowrogi tatuaż.

Gość przyjął kawę i podziękował. Dana wróciła na swoje stanowisko za dzielącym ich biurkiem.

– Jest pan wyznania luterńskiego? – spytała, znowu z długopisem w dłoni.

– Wątpię. Raczej żadnego. Nigdy nie miałem potrzeby należenia do jakiegoś Kościoła.

– Ale był pan tu wczoraj. Dlaczego?

Boyette trzymał filiżankę oburącz tuż przy brodzie, niczym myszka kawałek sera. Jeśli odpowiedzi na proste pytanie o kawę udzielił dopiero po dziesięciu sekundach, to kwestia uczestnictwa w nabożeństwie mogła wymagać godziny namysłu. Wypił łyk kawy, oblizał usta.

– Jak pani sądzi, ile to potrwa, zanim będę mógł zobaczyć się z pastorem? – odezwał się wreszcie.

Na pewno zbyt długo, pomyślała Dana, która teraz chciała już jak najszybciej przekazać tego gościa mężowi. Rzuciła okiem na zegar wiszący na ścianie.

– Powinien być wolny lada chwila – powiedziała.

– Czy moglibyśmy po prostu posiedzieć tu w ciszy i poczekać? – zapytał całkiem uprzejmie.

Zrozumiała, że ten człowiek woli trzymać się na dystans, i szybko doszła do wniosku, że to nawet niezły pomysł. Po chwili ciekawość wzięła w niej jednak górę.

– Oczywiście, jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie. – Popatrzyła na kwestionariusz, jakby to on wymagał tej ostatniej informacji. – Jak długo przebywał pan w więzieniu?

– Pół życia – odparł bez wahania, jak gdyby odpowiadał na to pytanie pięć razy dziennie.

Dana nabazgrała coś, a potem jej uwagę przyciągnęła klawiatura na biurku. Zaczęła zamasyżować w nią stukać, jakby nagle przypomniała sobie o czymś pilnym. Krótki mail do Keitha brzmiał:

Jest tu przestępca po wyroku. Koniecznie chce się z tobą zobaczyć. Inaczej nie wyjdzie. Wydaje się dość miły. Pije kawę. Kończ tam sprawę i przychodź.

Pięć minut później drzwi gabinetu pastora otworzyły się i wybiegła przez nie młoda kobieta. Ocierała oczy. Za nią szedł jej były narzeczony, któremu udawało się jednocześnie marszczyć gniewnie brwi i uśmiechać. Żadne z nich nie odezwało się do Dany. Żadne nie zwróciło uwagi na Trvisa Boyette’a. Szybko się ulotnili.

Kiedy drzwi się za nimi zatrzasnęły, Dana zwróciła się do siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny:

– Chwileczkę.

Pospieszyła do gabinetu męża i pokrótce przedstawiła sprawę.



Wielebny Keith Schroeder miał trzydzieści pięć lat. Był szczęśliwy w małżeństwie z Daną. Ich trzech synów urodziło się kolejno w odstępach dwudziestu miesięcy. Dwa lata temu objął probostwo w kościele Świętego Marka, a

przedtem zawiadywał parafią w Kansas City. Jego ojciec był emerytowanym duchownym luterańskim i Keith nigdy nie myślał, by wybrać inną drogę. Wychowywał się w małym miasteczku pod St. Louis, uczył się w pobliskich szkołach i poza klasową wycieczką do Nowego Jorku i miesiącem miodowym na Florydzie nie ruszał się ze Środkowego Zachodu. W parafii był powszechnie lubiany, choć zdarzały się konflikty. Największa awantura wybuchła, kiedy zeszłej zimy podczas śnieżycy otworzył piwnice kościoła dla bezdomnych. Śniegi stopniały, ale niektórzy podopieczni nie mieli ochoty się stamtąd ruszyć. Miasto nałożyło grzywnę za niezgodne z prawem wykorzystanie nieruchomości, a w gazecie ukazał się nieco żenujący materiał na ten temat.

Tematem kazania minionej niedzieli było przebaczenie – nieskończona zdolność Boga, by wybacać człowiekowi grzechy, bez względu na to, jak haniebne czyny popełnił. Grzechy Tralisa Boyette’a były potworne, niewiarygodne, przerażające. Swoimi zbrodniami przeciwko ludziom niewątpliwie w pełni zasłużył na potępienie wieczne i śmierć. W tym momencie swojego nędznego życia Boyette miał pewność, że nie uzyska wybaczenia. Był jednak ciekawy.

– Mielіśmy tu osoby z ośrodka resocjalizacji – powiedział Keith. – Nawet odprawiałem tam nabożeństwa.

Usadowili się w kącie jego gabinetu, w zapadających się, obitych płótnem fotelach, z dala od biurka, niczym dwaj nowi przyjaciele, ucinający sobie pogawędkę. Obok, w sztucznym kominku, płonęły sztucznie bierwiona.

– Nie jest tam źle – rzucił Boyette. – Na pewno lepiej niż w więzieniu.

Był wątłej budowy, blady, jak ktoś stale przebywający w miejscach, do których nie dociera światło słoneczne. Kości-
ste kolana miał złączone, leżała na nich czarna laska.

– A gdzie siedziałeś? – Keith uniósł kubek parującej herbaty.

– Tu i tam. Ostatnie sześć lat w Lansing.

– I za co byłeś skazany? – zapytał Keith, chcąc dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Pobicie? Narkotyki? Niewykluczone. Ale może był po prostu zwykłym malwersantem albo oszustem podatkowym. Na pewno nie wyglądał na człowieka, który mógłby kogoś skrzywdzić.

– Za wiele złych rzeczy, pastorze. Nie jestem w stanie wszystkiego spamiętać.

Boyette unikał kontaktu wzrokowego. Wpatrywał się w dywan na podłodze. Keith pił herbatę, uważnie obserwując mężczyznę, i wtedy dostrzegł jego tik. Co kilka sekund głowa lekko opadała mu na lewo. To był szybki ruch, po którym następowało bardziej zdecydowane skorygowanie postawy i powrót do pionu.

Po chwili absolutnej ciszy Keith spytał:

– A o czym chciałeś porozmawiać, Travis?

– Mam guza mózgu, pastorze. Złośliwy nowotwór, śmiertelny, w gruncie rzeczy nieuleczalny. Gdybym miał pieniądze, mógłbym z nim walczyć. Naświetlania, chemia, to, co się zwykle stosuje... Dałoby mi to dziesięć miesięcy, może rok. Ale to gładzik, czwarty stopień, a to znaczy, że już po mnie. Pół roku czy rok... naprawdę nie ma znaczenia. Za kilka miesięcy umrę.

Jakby na zawołanie guz dał o sobie znać. Boyette skrzywił się, nachylił i zaczął masować skronie. Oddychał z trudem, ciężko. Wydawało się, że całe jego ciało ogarnia ból.

– Bardzo mi przykro – powiedział Keith, w pełni zdając sobie sprawę, jak marnie to brzmi.

– Cholerne bóle głowy – rzucił Boyette, nadal mocno zaciskając powieki.

Przez kilka minut walczył z bólem. Nic nie mówili. Keith patrzył bezradnie, gryząc się w język, by nie palnąć czegoś głupiego w rodzaju: „Może dać ci tylenol?”. Po chwili atak

odpuścił. Boyette się odprężył.

– Przepraszam – powiedział.

– Kiedy zostało to zdiagnozowane? – zapytał Keith.

– Nie wiem. Jakiś miesiąc temu. Bóle głowy zaczęły się w Lansing, w lecie. Może sobie pastor wyobrazić poziom tamtejszej opieki medycznej. Nic mi nie pomogli. Kiedy zostałem zwolniony i odesłany tutaj, skierowali mnie do szpitala St. Francis. Zrobili mi tomografię i inne badania i odkryli piękne jajo w samym środku mojej głowy, za głębooko, żeby operować. – Wziął głęboki wdech, a potem wypuścił powietrze i po raz pierwszy zdobył się na blade uśmiech.

Brakowało mu jednego zęba po lewej stronie u góry. Przerwa rzucała się w oczy. Keith podejrzewał, że opieka dentystryczna w zakładzie karnym również pozostawiała wiele do życzenia.

– Przypuszczam, że miał pastor do czynienia z takimi jak ja – powiedział Boyette. – Stojącymi w obliczu śmierci.

– Od czasu do czasu. Zdarzało się. Taka profesja.

– I jak się domyślam, takie osoby zwykle zaczynają się poważnie zastanawiać nad kwestią Boga, nieba, piekła i tak dalej.

– Rzeczywiście. Taka już jest natura ludzka. Kiedy konfrontujemy się z własną śmiertelnością, myślimy o życiu wiecznym. A ty, Travis? Wierzysz w Boga?

– Czasami tak, a czasami nie. Ale nawet kiedy wierzę, jestem dość sceptyczny. Pastorowi łatwo wierzyć, bo miał pastor łatwe życie. Ze mną to kompletnie inna historia.

– Chcesz mi ją opowiedzieć?

– Niespecjalnie.

– To po co tu przyszedłeś?

Znowu ten tik. Kiedy głowa Travisa wróciła do pionu, rozejrzał się po pokoju, po czym skupił wzrok na pastorze. Patrzyli na siebie przez dłuższy czas, żaden nawet nie mrugnął. W końcu Boyette przerwał milczenie.

– Zrobiłem straszne rzeczy. Skrzywdziłem niewinnych ludzi. Nie wiem, czy chcę to wszystko zabrać ze sobą do grobu.

Nareszcie do czegoś dochodzimy, pomyślał Keith. Brze mię zatajonego grzechu. Wstyd skrywanej winy.

– Byłoby ci lżej, gdybyś opowiedział mi o tych złych uczynkach. Najlepszym punktem wyjścia jest wyznanie.

– I to jest objęte tajemnicą spowiedzi?

– W większości przypadków tak, choć są pewne wyjątki.

– Jakie?

– Jeśli mi coś wyznasz, a ja stwierdzę, że stanowisz zagrożenie dla siebie albo dla kogoś innego, to jestem zwolniony z obowiązku dochowania tajemnicy. Mogę podjąć odpowiednie kroki, by chronić tamtą osobę lub ciebie. Innymi słowy, mogę szukać pomocy.

– Brzmi dość zawile.

– Niespecjalnie.

– Proszę posłuchać, pastorze, robiłem różne straszne rzeczy, ale jedna sprawa gnębi mnie od lat. Muszę z kimś pomówić, a nie ma nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. Jeśli opowiem teraz o okropnej zbrodni, którą popełniłem lata temu, nie może pastor tego nikomu zdradzić?



Dana od razu weszła na stronę Wydziału Resocjalizacji Kansas i w ciągu kilku sekund zagłębiła się w informacje na temat żałosnego losu Tralisa Dale’a Boyette’a. W 2001 roku – wyrok za próbę napaści seksualnej. Obecny status – osadzony w więzieniu.

– Obecny status to siedzi w biurze mojego męża – mruknęła pod nosem, stukając w klawiaturę i szukając dalej.

W 1991 roku skazany na dwanaście lat za ciężkie pobicie i napad seksualną w Oklahomie. Zwolniony warunkowo w 1998.

W 1987 skazany na osiem lat za próbę napaści seksualnej i pobicie w Missouri. Zwolniony warunkowo w roku 1990.

W 1979 skazany na dwadzieścia lat za ciężkie pobicie i napadć seksualną w Arkansas. Zwolniony warunkowo w 1985.

Boyette figurował na liście przestępców seksualnych w Kansas, Missouri, Arkansas i Oklahomie.

– Potwór – powiedziała do siebie.

W materiałach zobaczyła jego zdjęcie z czasów, kiedy był znacznie potężniejszym, młodszym mężczyzną o ciemnych przerzedzonych włosach. Szybko podsumowała te informacje i wysłała maila do Keitha. Nie obawiała się o bezpieczeństwo męża, ale chciała, żeby ten zboczeniec jak najszybciej stąd wyszedł.



Po półgodzinnej wymuszonej rozmowie, która nie dała wiele, Keitha zaczęło już męczyć to spotkanie. Boyette chyba nie bardzo interesował się Bogiem, a ponieważ dla pastora była to sfera, w której się specjalizował, nie widział, jak mógłby tu pomóc. Nie był neurochirurgiem. Nie miał też żadnej oferty pracy.

Przyszła jakaś wiadomość na komputer. Zasygnalizował to cichy dźwięk, przypominający staromodny dzwonek do drzwi. Dwa dźwięki sugerowałyby, że to od kogokolwiek. Ale trzy mówiły, że z recepcji. Udał, że je ignoruje.

– A po co ta laska? – zapytał uprzejmie.

– Więzienie to miejsce brutalne – odparł Boyette. – Wpłatałem się w jedną bójkę za dużo. Uraz głowy. Możliwe, że to przyczyniło się do powstania guza. – Uznał, że to zabawne, i zaśmiał się ze swojego żartu.

Keith grzecznie mu zawtórował, po czym wstał i podeszedł do biurka.

– Może dam ci moją wizytówkę. Dzwon swobodnie w

każdej chwili. Jesteś tu zawsze mile widziany, Travis.

Wziął wizytówkę i rzucił okiem na monitor. Cztery – w sumie cztery – wyroki skazujące, wszystkie za napaści seksualne. Wrócił do fotela, podał Travisowi wizytówkę i usiadł.

– W więzieniu bywa ciężko, zwłaszcza gwałcicielom, co, Travis? – rzucił.

Przenosisz się do innego miasta, musisz zgłosić się do komisariatu albo do sądu i zarejestrować się jako przestępca seksualny. Po dwudziestu latach czegoś takiego na pewno sądzisz, że wszyscy już wiedzą. Wszyscy cię obserwują.

Boyette nie wydawał się zaskoczony.

– Bardzo ciężko – przyznał. – Nie pamiętam nawet, ile razy byłem atakowany.

– Wiesz, Travis, wołałbym nie rozmawiać na ten temat. Mam umówione spotkania. Jeśli chciałbyś przyjść znowu, świetnie, tylko przedtem zadzwoń. I miło mi będzie widzieć cię na mszy w niedzielę. – Keith nie był pewien, czy to prawda, ale zabrzmiało szczerze.

Boyette wyciągnął z kieszeni wiatrówki złożoną kartkę.

– Słyszał pastor o sprawie Donté Drumma? – zapytał, podając ją Keithowi.

– Nie.

– Czarny chłopak, miasteczko na wschodzie Teksasu, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku skazany za morderstwo. Podobno zabił białą dziewczynę, cheerleaderkę ze szkoły. Ciała nie odnaleziono.

Keith rozłożył kartkę. To było ksero artykułu z tutejszej gazety, z wydania niedzielnego, czyli z poprzedniego dnia. Keith przeczytał ją szybko i rzucił okiem na zdjęcie policyjne Donté Drumma. Nie było w tej historii nic niezwykłego. Kolejna rutynowa egzekucja w Teksasie i skazany, który twierdzi, że jest niewinny.

– Wykonanie wyroku zaplanowano na czwartek. – Keith podniósł wzrok na Boyette’a.

– Powiem coś pastorowi. Oni mają niewłaściwego człowieka. Chłopak nie ma nic wspólnego z tym morderstwem.

– A skąd to wiesz?

– Nie ma żadnych dowodów. Nic a nic. Gliny uznały, że to zrobił, wymuszono na nim zeznanie, a teraz go zabijają. To nie w porządku, pastarze. Tak nie powinno być.

– Skąd tyle wiesz?

Boyette nachylił się, jakby miał szepnąć coś, czego jeszcze nigdy na głos nie wypowiedział. Keith czuł, że serce bije mu coraz szybciej. Nie padły jednak żadne słowa. Nastąpiła kolejna dłuższa chwila ciszy, gdy obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy.

– Piszą, że ciała nie odnaleziono – powiedział Keith, by sprowokować go do mówienia.

– Tak. Wydumali sobie tę historyjkę, że niby chłopak porwał dziewczynę, zgwałcił, udusił i zrzucił ciało z mostu do Red River. Totalna fikcja.

– A ty wiesz, gdzie jest ciało?

Boyette siedział wyprostowany, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Już zaczynał kiwać głową. A tu znowu tik. I kolejny. Występowały częściej, kiedy był pod presją.

– Zabiłeś ją, Travis? – rzucił Keith, sam zdumiony swoim pytaniem.

Jeszcze kilka minut temu powtarzał sobie w pamięci listę parafian, których miał odwiedzić w szpitalu. Myślał, w jaki sposób pozbyć się tego natręta. A teraz krążyli wokół tematu morderstwa i ukrytego ciała.

– Nie wiem, co robić – powiedział Boyette, gdy ogarnęła go kolejna fala ostrego bólu. Nachylił się, jakby miał zwymiotować, a potem ścisnął dłońmi głowę. – Umieram, prawda? Za kilka miesięcy nie będę już żył. Dlaczego ten dzieciak ma też umrzeć? Nic nie zrobił. – Miał wilgotne oczy, krzywił się.

Keith obserwował, jak dygocze. Podał mu chusteczkę

higieniczną i patrzył, jak mężczyzna ociera twarz.

– Guz rośnie – wyjąkał Boyette. – Z każdym dniem coraz bardziej rozpiera czaszkę.

– Masz jakieś leki?

– Mam jakieś, ale nie działają. Muszę iść.

– Chyba nie skończyliśmy.

– Ależ tak.

– Gdzie jest ciało, Travis?

– Nie chciałby pastor wiedzieć.

– Chciałbym. Może uda nam się wstrzymać egzekucję.

Boyette się zaśmiał.

– Naprawdę? W Teksasie? Marnie to widzę. – Powoli się podniósł i postukał łaską w podłogę. – Dziękuję, pastorze.

Keith nie wstał. Tylko patrzył, jak Boyette szybko kuśtyka do drzwi.

Dana uniosła wzrok, nie miała jednak zamiaru się uśmiechnąć. Zdobyła się tylko na słabe „Do widzenia”, gdy z jego strony padło „Dziękuję”. Po chwili mężczyzna wyszedł na ulicę, bez porządnej kurtki i bez rękawiczek, ale Dany naprawdę to nie obchodziło.

Jej mąż się nie ruszał. Siedział zgarbiony w fotelu, trzymając ksero z gazety, i oszołomiony, wpatrywał się tępo w ścianę.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Podał jej kartkę.

– Nie bardzo kojarzę, o co chodzi – powiedziała, kiedy skończyła czytać.

– Travis Boyette wie, gdzie jest ciało. Wie, bo to on zamordował tę dziewczynę.

– Przyznał się do tego?

– Prawie. Twierdzi, że ma nieoperacyjnego guza mózgu i za kilka miesięcy umrze. Mówi, że Donté Drumm nie ma nic wspólnego z tym zabójstwem. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że wie, gdzie jest ciało.

Dana opadła na kanapę, między poduszki i narzuty.

– I ty mu wierzysz?

– To recydywista, Dano, przebiegły facet. Raczej skłamię, niż powie prawdę. Nie można wierzyć w żadne jego słowo.

– Ale ty mu wierzysz?

– Chyba tak.

– Jak możesz mu wierzyć? Dlaczego?

– On cierpi. Nie tylko z powodu guza. Wie coś na temat tego morderstwa i ciała. Wie mnóstwo i autentycznie trudno mu pogodzić się z tym, że niewinnego człowieka czeka egzekucja.

Keith od tak dawna wysłuchiwał zwierzeń wiernych o ich delikatnych problemach osobistych i udzielał rad, na których mogli polegać, że stał się mądrym i wnikliwym obserwatorem. Rzadko się mylił. Dana była o wiele bardziej skłonna wydawać pochopne sądy i krytykować i częściej popełniała błędy.

– No to co o tym myślisz, pastorze? – spytała.

– Przez godzinę skupmy się na zbadaniu sprawy. Potwierdźmy kilka faktów. Czy on naprawdę jest na zwolnieniu warunkowym? Jeśli tak, to kto jest jego kuratorem? Czy leczy się w szpitalu St. Francis? Czy ma guza mózgu? A jeśli tak, to czy naprawdę jest to nieuleczalne?

– Nie da się uzyskać informacji medycznych bez jego zgody.

– Jasne, ale zobaczymy, co można ustalić. Zadzwoń do doktora Herzlicha. Czy wczoraj był w kościele?

– Owszem.

– Tak myślałem. Zadzwoń i go wybadaj. Powinien dziś rano mieć obchód w St. Francis. Zadzwoń do Wydziału Zwolnień Warunkowych i dowiedz się jak najwięcej.

– A co ty będziesz robił, kiedy ja będę tak wydzwaniała?

– Sprawdzę w internecie, co uda mi się znaleźć na temat

tamtego morderstwa, procesu, oskarżonego i wszystkiego, co się tam wydarzyło.

Oboje wstali. Teraz zaczęli się spieszyć.

– A jeśli to prawda, Keith? – spytała Dana. – Jeśli przekonamy się, że ten zboczeniec mówi prawdę?

– Wtedy będziemy musieli coś zrobić.

– Na przykład?

– Nie mam zielonego pojęcia.

Rozdział 2

Ojciec Robbiego Flaka kupił starą stację kolejową w centrum Slone w roku 1972, kiedy Robbie był jeszcze w liceum. Uratował budynek w ostatniej chwili, nim miasto zdążyło go zburzyć. Flak senior zarobił trochę pieniędzy, oskarżając kompanie wiertnicze, i musiał co nieco z tego wydać. On i jego wspólnicy odnowili stację i ulokowali tam kancelarię, która przez następnych dwadzieścia lat przynosiła ładne zyski. Na pewno nie byli bogaci, w każdym razie nie według teksaskich standardów, ale jako prawnikom całkiem nieźle im się powodziło, a ich niewielka firma cieszyła się renomą w mieście.

A potem dołączył Robbie. Zaczął pracować w kancelarii już jako nastolatek i wkrótce tamtejsi prawnicy zorientowali się, że jest inny. Finansowe korzyści nie miały dla niego większego znaczenia, za to pochłaniały go sprawy związane z krzywdą społeczną. Naciskał na ojca, by stawał w obronie praw obywatelskich, równości płci, przeciw dyskryminacji ze względu na wiek, by zajmował się niesprawiedliwymi praktykami w kwestiach lokalowych, przypadkami brutalnego działania policji – wszystkim tym, co mogło narazić na ostracyzm firmę działającą w miasteczku na Południu. Bardzo zdolny i arogancki, Robbie w trzy lata ukończył college na północy i bez trudu odbył studia na Uniwersytecie

Teksasu w Austin. Nigdy nie chodził na rozmowy kwalifikacyjne i nie pracował nigdzie indziej poza stacją kolejową w centrum Slone. Było tu pod dostatkiem tych, których chciał oskarżać, i mnóstwo skrzywdzonych, poniewieranych ludzi, którzy go potrzebowali.

On i ojciec wojowali ze sobą od pierwszego dnia. Pozostali prawnicy albo przeszli na emeryturę, albo przenieśli się do innych kancelarii. W roku 1990, w wieku trzydziestu pięciu lat, Robbie pozwał do sądu miasto Tyler za dyskryminację w systemie zarządzania nieruchomościami. Proces w Tyler toczył się przez miesiąc i w pewnym momencie Robbie był zmuszony wynająć ochronę, bo groźby śmierci stały się zbyt realne. Kiedy sąd wydał wyrok opiewający na dziewięćdziesiąt milionów odszkodowania, Robbie Flak stał się legendą, zamożnym człowiekiem i radykałem wśród prawników, dla którego nie było spraw niemożliwych i który miał teraz dość pieniędzy, by móc wywoływać większe zamieszanie, niż kiedykolwiek mu się to śniło. Żeby nie wchodzić mu w paradę, ojciec wycofał się z interesów i poszedł na kurs golfa. Pierwsza żona Robbiego uszczknęła działkę z jego majątku i pospieszenie wróciła do St. Paul.

Kancelaria prawna Flaka przyciągała tych, którzy uważali się za choćby w najmniejszym stopniu pokrzywdzonych przez społeczeństwo. Ofiary napaści, niesłusznie oskarżeni, źle potraktowani, wszyscy prędzej czy później trafiali do Robbiego Flaka. Żeby zapanować nad tą masą spraw, Robbie zatrudnił wielu młodych asystentów i praktykantów. Codziennie przeglądał sprawy, brał te obiecujące, istotne, resztę odrzucał. Firma się rozrosła, a później zbankrutowała. Potem znowu zaczęła się rozrastać, ale dotknął ją kolejny kryzys. Prawnicy przychodzili i odchodzili. Robbie pozywał, jego pozywano. Pieniądze wyparowały, aż znów wywalczył bardzo dużo w kolejnym procesie. Najgorsza chwila w jego barwnej karierze nastąpiła, kiedy przyłapał swojego

księgowego na oszustwie i sprzął go aktówką. Uniknął surowej kary i wynegocjował trzydzieści dni więzienia za to wykroczenie. Historia trafiła na pierwsze strony gazet i całe Slone chłonęło każde słowo. Robbiemu, któremu – co oczywiste – zależało na dobrej opinii, bardziej dopieklej złośliwe komentarze w prasie niż więzienie. Stanowa Izba Adwokacka udzieliła mu oficjalnej nagany i na dziewięćdziesiąt dni zawiesiła mu koncesję. To był już jego trzeci konflikt z komisją etyki zawodowej. Poprzysiągł sobie, że nie ostatni. Żona numer dwa w końcu odeszła. Z ładnym czekiem na pożegnanie.

Życie Robbiego, tak jak jego osobowość, było chaotyczne, bulwersujące – tkwił w stałym konflikcie ze sobą i z innymi – ale nigdy nie było nudne. Za plecami często nazywano go Robbiem Furiatem. A kiedy pił coraz więcej, doszło do tego Robbie Flaszka. Jednak pomimo rozgardiaszu, kaców, szalonych kobiet, afer z nieuczciwymi współpracownikami i chwiejnej sytuacji finansowej, na przekór lekceważącemu stosunkowi do niego władz miasta, Robbie Flak co rano docierał do budynku dawnej stacji kolejowej z mocnym postanowieniem, że poświęci ten dzień walce dla dobra prostych ludzi. I nie zawsze czekał, aż oni go znajdą. Jeśli dobiegły go słuchy o jakiejś niesprawiedliwości, często z własnej inicjatywy wskakiwał do samochodu i jechał, by się tym zająć. Ten niezmordowany zapał do wojowania ze złem doprowadził go do najsłynniejszej sprawy w jego karierze zawodowej.



W roku 1998 Slone wstrząsnęła najbardziej sensacyjna zbrodnia w historii miasta. Zaginęła siedemnastoletnia uczennica ostatniej klasy liceum, Nicole Yarber. Nikt już nigdy jej nie zobaczył – żywej ani martwej. Przez dwa tygodnie wszystko skupiało się na tym jednym. Tysiące wolontariuszy

przeczesały zaułki, pola, rowy i opuszczone budynki. Poszukiwania nie dały żadnych rezultatów.

Nicole była lubiana, uczyła się nieźle, należała do tych klubów, co trzeba, w niedzielę chodziła do Pierwszego Kościoła Baptystów, gdzie czasami śpiewała w młodzieżowym chórze. Jej najważniejszym osiągnięciem była jednak przynależność do grupy cheerleaderek. Jeszcze zanim przeszła do ostatniej klasy, została kapitanem ich drużyny, co oznaczało chyba najbardziej pożądany status w szkole, przynajmniej wśród dziewcząt. To chodziła, to zrywała ze swoim chłopakiem, który grał w futbol i miał wielkie marzenia, ale ograniczony talent. Tego wieczoru, kiedy zaginęła, rozmawiała z matką przez komórkę i obiecała, że wróci do domu przed północą. Był piątek, początek grudnia. Rozgrywki futbolowe Wojowników Slone zakończono i życie wróciło do normy. Matka Nicole zeznała potem, a bilingi telefoniczne to potwierdziły, że rozmawiała z córką przez telefon co najmniej sześć razy dziennie. Poza tym wysyłały sobie średnio ze cztery esemesy. Pozostawały w stałym kontakcie i było nie do pomyślenia, żeby Nicole mogła tak po prostu uciec, bez słowa, nie dając nic znać matce.

Nigdy nie miała problemów emocjonalnych, nie cierpiała na zaburzenia odżywiania, nie zachowywała się dziwnie, nie leczyła się psychiatrycznie ani nie brała narkotyków. Po prostu znikła. Żadnych świadków. Żadnych wyjaśnień. Nic. Modlitwy w kościołach i szkołach trwały bez przerwy. Uruchomiono specjalną gorącą linię i było mnóstwo zgłoszeń, ale żadne nie okazało się wiarygodne. Stworzono stronę internetową, by monitorować poszukiwania i filtrować plotki. Eksperci – autentyczni i hochsztaplerzy – ściągali do miasta, by coś poradzić. Pojawił się jakiś jasnowidz, nieproszony, ale wyjechał, gdy nie znalazł się nikt chętny, by mu zapłacić. Poszukiwania się przedłużały, mnożyły się plotki, a w mieście właściwie nie mówiono o niczym innym. Przed domem

dziewczyny stał przez okrągłą dobę radiowóz, najwyraźniej po to, by dodać otuchy rodzinie. Jedyna stacja telewizyjna w Slone zatrudniła kolejnego nieopierzonego reportera, który miał zgłębiać temat. Ochotnicy przetrząsali teren, poszukiwania zataczały coraz szersze kręgi wokół miasta. Drzwi i okna porządnie ryglowano. Ojcowie sypiali ze strzelbami w pogotowiu. Rodzice i opiekunki pilnie strzegli najmłodszych. Kaznodzieje przerabiali kazania, by bić na alarm przeciwko złu. Policja przez pierwszy tydzień przedstawiała dzienne raporty, kiedy jednak funkcjonariusze zdali sobie sprawę, że nie mają nic nowego do powiedzenia, zaczęli zmniejszać ich częstotliwość. Wciąż czekano na jakiś ślad, telefon, donos od kogoś polującego na nagrodę pieniężną. Modlono się o przełom w sprawie.

Wreszcie nadszedł szesnasty dzień od zaginięcia Nicole. O czwartej trzydzieści trzy w nocy zadzwonił telefon w domu detektywa Kerbera i ten już po dwóch dzwonek chwycił słuchawkę. Choć był wyczerpany, nie sypiał dobrze. Instynktownie wcisnął nagrywanie. Potem ten zapis odsłuchiowano tysiące razy.

Kerber: Halo?

Głos: Czy to detektyw Kerber?

Kerber: Tak. Kto mówi?

Głos: To bez znaczenia. Istotne, że wiem, kto ją zabił.

Kerber: Muszę znać twoje nazwisko.

Głos: Nie ma mowy, Kerber. Chcesz pogadać o dziewczynie?

Kerber: Słucham.

Głos: Spotykała się z Donté Drummem. W wielkiej tajemnicy. Chciała z nim zerwać, ale on nie zamierzał odpuścić.

Kerber: Kim jest Donté Drumm?

Głos: Daj spokój, detektywie. Każdy zna Donté Drumma. To wasz zabójca. Złapał ją przy galerii handlowej, zrzucił

z mostu na drodze dwieście czterdzieści cztery. Mała leży na dnie Red River.

Połączenie zostało przerwane. Jak potem ustalono, ten ktoś dzwonił z budki telefonicznej całonocnego sklepu wielobranżowego w Slone. Na tym trop się urywał.

Detektyw Kerber słyszał plotki, że Nicole spotyka się z czarnoskórym zawodnikiem drużyny futbolowej, ale nikt nigdy nie zdołał tego potwierdzić. Jej chłopak stanowczo temu zaprzeczał. Mówił, że z przerwami chodzili ze sobą od roku i że Nicole jeszcze z nikim nie uprawiała seksu. Jednak jak wiele pogłosek zbyt sprośnych, by o nich zapomnieć, i ta krążyła uparcie. To było tak odrażające i mogło wywołać taką burzę, że Kerber naprawdę wzdrygał się przed poruszeniem tego tematu z rodzicami Nicole.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w telefon, po czym wyjął kasetę. Pojechał do komendy, zaparzył dzbanek kawy i jeszcze raz wysłuchał nagrania. Był w euforii, nie mógł się doczekać, kiedy przekaże tę wiadomość swojemu zespołowi śledczemu. Teraz wszystko układało się w logiczną całość: romans nastolatków, czarno-biały związek, który na wschodzie Teksasu nadal był nie do zaakceptowania. Nicole próbowała zerwać, obrażony kochanek zareagował gwałtownie. To idealnie pasowało.

Mieli sprawcę.

Dwa dni później Donté Drumm został aresztowany i oskarżony o porwanie, brutalny gwałt i zabójstwo Nicole Yarber. Przyznał się do winy i potwierdził, że wrzucił ciało dziewczyny do Red River.



Relacje Robbiego Flaka z detektywem Kerberem były dość burzliwe. Przez lata wielokrotnie ścierali się podczas spraw kryminalnych. Kerber pogardzał prawnikiem, podobnie jak innymi łachudrami reprezentującymi przestępców.

Robbie natomiast uważał detektywa za agresywnego typu, brutalnego gliniarza, niebezpiecznego gościa z plakietką i bronią, który jest zdolny do wszystkiego, byle doprowadzić do skazania. Podczas pewnej pamiętnej wymiany zdań przed sądem Robbie złapał zeznającego pod przysięgą Kerbera na oczywistym kłamstwie i żeby to podkreślić, krzyknął do niego: „Ależ z ciebie kłamliwy sukinsyn, co, Kerber?!”.

Przywołano go do porządku, otrzymał naganę, musiał przeprosić detektywa i sąd oraz zapłacić pięćset dolarów grzywny. Jego klienta uznano jednak za niewinnego i tylko to się liczyło. W historii Izby Adwokackiej Hrabstwa Chester żaden prawnik nie dostał tylu upomnień co Robbie Flak. I był dumny z tego rekordu.

Kiedy tylko dowiedział się o aresztowaniu Donté Drumma, wykonał błyskawicznie kilka telefonów, po czym wybrał się do czarnej części Slone, do dzielnicy, którą dobrze znał. Towarzyszył mu Aaron Rey, który w przeszłości był członkiem gangu i siedział za handel narkotykami, a teraz pracował na stałe w kancelarii Robbiego jako ochroniarz, goniec, kierowca, śledczy i robił wszystko, co tylko było Robbiemu potrzebne. Rey zawsze miał przy sobie co najmniej dwa pistolety, a więcej trzymał w podręcznej torbie. Wszystko to legalnie, bo dzięki panu Flakowi odzyskał wszelkie prawa obywatelskie i mógł teraz nawet głosować. Robbiemu Flakowi nie brakowało wrogów w Slone, ale wszyscy oni dobrze wiedzieli o Aaronie Reyu.

Matka Drumma pracowała w szpitalu, a ojciec był kierowcą ciężarówki w tartaku na południe od miasta. Mieszkali z czworgiem dzieci w małym białym domu z bożonarodzeniowymi światełkami w oknach i z wieńcem na drzwiach. Ich duchowny przybył niedługo po Robbiem. Rozmawiali przez wiele godzin. Rodzice byli w szoku, zdruzgotani, wściekli i śmiertelnie wystraszeni. Byli też wdzięczni, że pojawił się u nich pan Flak. Nie mieli pojęcia, co robić.

– Mogę się podjąć prowadzenia tej sprawy – powiedział Robbie, a oni się zgodzili.

Dziewięć lat później nadal ją prowadził.



Robbie przyjechał do swojego biura wczesnym rankiem w poniedziałek piątego listopada. Pracował przez całą sobotę i niedzielę i wcale nie był wypoczęty po weekendzie. Miał ponury nastrój, nawet fatalny, można powiedzieć. Czekają go cztery dni chaosu, gonitwy, ciągu zdarzeń przewidywalnych i całkiem niespodziewanych, i zdawał sobie sprawę, że kiedy kurz opadnie, o osiemnastej w czwartek, najprawdopodobniej będzie musiał stanąć w zatłoczonej salce więzienia Huntsville, trzymając się za ręce z Robertą Drumm, i być świadkiem, jak stan Teksas zaaplikuje jej synowi dość chemikaliów, by zabić konia.

Już raz brał udział w czymś takim.

Wyłączył silnik bmw, ale nie był w stanie odpiąć pasa. Ściskając dłońmi kierownicę, patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Przez dziewięć lat walczył o Donté Drumma. Toczył tak zaciekłą wojnę jak jeszcze nigdy dotąd. Bronił chłopaka jak szalony podczas idiotycznego procesu, w którym Donté został uznany za winnego zabójstwa. Zadręczał sądy apelacyjne, starając się podważyć wyrok. Obchodził przepisy i nagiął prawo. Napisał miażdżące artykuły, dowodząc niewinności swojego klienta. Opłacił ekspertów, by przedstawili nowe interpretacje, których nikt nie kupił. Niestrudzenie nękał gubernatora, aż wreszcie jego telefony nie były już odbierane nawet przez najniższych rangą urzędników. Lobbował wśród polityków, grup wsparcia, wspólnot religijnych, stowarzyszeń prawniczych, obrońców praw obywatelskich, ACLU, Amnesty International, przeciwników kary śmierci. Przekonywał każdego i wszystkich, którzy mogliby zrobić

coś, by ocalić jego klienta. Nie dało się jednak zatrzymać zegara. Nadal tykał, coraz głośniej i głośniej.

Przez tę sprawę Robbie Flak wydał całe swoje pieniądze, spalił wszystkie mosty, poróżnił się z niemal wszystkimi przyjaciółmi, doprowadził się do stanu skrajnego wyczerpania i był bliski załamania nerwowego. Robił tyle szumu, tak długo, że nikt już tego nie słyszał. Większość uważała, że to tylko kolejny pyskawy adwokat, który upiera się, że jego klient jest niewinny. Nie było to coś niespotykanego.

Teraz dotarł do ściany i naprawdę wątpił, by po tym wszystkim – kiedy nastąpi koniec, kiedy tamci wreszcie dopną swego i stracą Donté Drumma – był w stanie to ciągnąć. Zamierzał się przeprowadzić, sprzedać swoją siedzibę, wycofać się z zawodu, powiedzieć miastu Slone i Teksasowi, że mogą się pocałować gdzieś, i zamieszkać w górach, może w Vermoncie, gdzie lata są chłodne, a władze stanowe nie zabijają ludzi.

W sali konferencyjnej zapaliło się światło. Ktoś już tam był, otwierał biuro, przygotowując się do tego piekielnego tygodnia. Robbie wreszcie wysiadł z auta i wszedł do budynku. Pogadał z Carlosem, jednym z najdłużej zatrudnionych praktykantów adwokackich, i posiedzieli kilka minut przy kawie. Rozmowa wkrótce zeszła na futbol.

– Oglądałeś Cowboyów? – zapytał Carlos.

– Nie, nie mogłem. Słyszałem, że to był wielki dzień Prestona.

– Ponad dwieście metrów. Trzy przyłożenia.

– Już nie kibicuję Cowboyom.

– Ja też nie.

Miesiąc wcześniej Rahmad Preston był u nich, dokładnie w tym miejscu, w sali konferencyjnej. Rozdawał autografy i pozował do zdjęć. Daleki kuzyn Rahmada został kilka lat wcześniej stracony w Georgii i zawodnik postanowił zaangażować Cowboyów i czołówkę NFL w kampanię na rzecz

Donté Drumma. Miał spotkać się z gubernatorem, Radą do spraw Zwolnień Warunkowych, gośćmi z wielkiego biznesu, politykami, kilkoma raperami, których podobno dobrze znał, a może nawet z jakimiś gwiazdami Hollywood. Miał zorganizować demonstrację tak głośną, że władze musiałyby się ugiąć. Okazało się jednak, że Rahmad jest mocny tylko w gębie. Nagle ucichł – „wycofał się z życia publicznego”, jak to określił jego menedżer, który wyjaśnił również, że ta sprawa zbyt szybko by rozpraszała wielkiego zawodnika ataku drużyny. Robbie, zawsze węszący spisek, podejrzewał, że to klub Cowboyów i ich korporacyjni sponsorzy wywarli nacisk na Rahmada.

O ósmej trzydzieści cała załoga firmy zebrała się w sali konferencyjnej i Robbie rozpoczął spotkanie. W tym momencie nie miał współników – ostatni odszedł w związku ze sporem, co do którego nadal się procesowali – ale w firmie pracowało dwoje stażystów, dwoje praktykantów, trzy sekretarki i Aaron Rey, który był zawsze pod ręką. Po piętnastu latach z Robbiem Aaron znał prawo lepiej niż większość stażystów. Poza tym na spotkaniu był obecny przedstawiciel Amnesty Now, grupy walczącej o prawa człowieka, z siedzibą w Londynie. Organizacja ta poświęciła tysiące godzin pracy swoich specjalistów na apelacje w sprawie Drumma. Udział w naradzie przez łączenie wideo brał również prawnik z Austin, ekspert w sprawach apelacji, wydelegowany przez Teksaskie Stowarzyszenie Obrońców.

Robbie omówił plany na ten tydzień. Sprecyzowano obowiązki, przydzielono zadania, ustalono, kto za co odpowiada. Starał się robić wrażenie, jakby był dobrej myśli, pełen nadziei, pewny, że wydarzy się cud.

Na ten cud zbierało się powoli jakieś sześćset pięćdziesiąt kilometrów dalej na północ, w Topece w stanie Kansas.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).